



ROALD
DAHL
100

-lecie
urodzin



ROALD DAHL

AUTORYZOWANA BIOGRAFIA

MISTRZ OPOWIEŚCI

DONALD STURROCK



DONALD STURROCK

ROALD DAHL
AUTORYZOWANA BIOGRAFIA
MISTRZ OPOWIEŚCI

PRZEŁOŻYŁA MARIA MAKUCH

znak emotikon

KRAKÓW 2016

PROLOG

OBIAD Z IGOREM STRAWIŃSKIM

Roald Dahl uważał, że biografie są nudne. Oświadczył mi to, zmagając się ze szczypcami homara na swoim talerzu. Miałem dwadzieścia cztery lata i zostałem zaproszony na weekend do domu pisarza na wsi w hrabstwie Buckingham. Właśnie podano obiad. Mieszane towarzystwo składające się z rodziny i przyjaciół pożerało owoce morza z wypełnionego po brzegi półmiska, gdy nagle pojawił się dziwny obiekt wykonany z połączonych metalowych elementów i wolno przesuwiał się wśród nakryć na stole. Części wydawały się nierozzerwalne, lecz Dahl oświadczył nam, że przedmiot ten można łatwo rozłożyć na części, trzeba tylko mieć odpowiednie zdolności manualne i wyobraźnię przestrzenną. Nikt z kolejnych gości nie potrafił tego zrobić. Oczekując na ruchomą zagadkę, usiłowałem polemizować z lekceważącą opinią Roalda o biografii. Wspomniałem Lyttona Stracheya, Victorię Glendinning, Michaela Holroyda. Jednak ich nie znał. Siedząc w wielkim fotelu u szczytu stołu z sosnowego drewna, wychylił się do tyłu, pociągnął łyk burgunda z potężnego kielicha i z wyraźną lubością powrócił do tematu. Według niego biografowie to ograniczeni kolekcjonerzy faktów, całkowicie pozbawieni wyobraźni, a ich książki są równie męczące, jak życie ich bohaterów. Z błyskiem w oku poinformował mnie, że wielu z wybitnych pisarzy, których spotkał w życiu, należy do niezwykle pospolitych przedstawicieli ludzkiego gatunku. Uważał, że, o ile pamiętam,

Norman Mailer, Evelyn Waugh, Tomasz Mann czy Dr. Seuss, są męczący, próżni, nudni i na dalszą metę nie do zniesienia, co dodatkowo podkreślał machnięciem swojej wielkiej dłoni przy każdym wymienianym nazwisku. Wiedział, że uwielbiam muzykę, i może dlatego wspomniał również nazwisko Strawińskiego. „Jako kompozytor prawdziwy geniusz – stwierdził z chichotem – natomiast we wszystkich innych dziedzinach bardzo pospolity”. Kiedyś jadł z nim obiad, więc wie, o czym mówi. Usiłowałem przywołać osoby, których życie było równie dramatyczne, jak ich dzieło, i wspominałem Mozarta, Caravaggia, van Gogha. Spojrzenie jego ciemnobłękitnych oczu skupiło się na mnie. „Nie o to chodzi” – powiedział. „Dlaczego, na litość, ktoś ma przebijać się przez gąszcz szczegółów czy zbiór jakichś faktów, gdy dokoła jest tyle cudownych opowieści? Wymyślanie jest zawsze bardziej interesujące od rzeczywistości”.

I kiedy tam siedziałem, obserwując żartobliwy i równocześnie zaczepny błysk w jego oku, zrozumiałem, że stacza ze mną coś w rodzaju boklerskiego pojedynku. Wyprowadził cios i odczuwał radość, że mu chcę odparować. A teraz wymierzył następny. Tym razem trudniejszy do obrony. Nie można już było kontynuować walki bez zaangażowania, które czyniło ją drobiazgową i nużącą. Zawahałem się na moment. Pomyślałem o jego życiu. Dopiero co ukończył dwa tomy wspomnień, z których jeden otrzymałem od niego do lektury jeszcze w szkicowej formie. Poznałem więc pierwsze dwadzieścia pięć lat jego życia: norweskich rodziców, dzieciństwo spędzone w Walii, ponure lata w szkole, młodzieńcze przygody w Nowej Fundlandii i Tanganie, pilotowanie myśliwca, przeżycie poważnej katastrofy samolotowej, jego karierę dyplomaty w Waszyngtonie podczas wojny. Zdążyłem mu już oświadczyć, że dla mnie książka jest fascynująca. Czyżby chciał, abym podczas obiadu powtórzył swoją entuzjastyczną opinię? Tego nie jestem pewien. Nastąpiła wtedy chwila, gdy musiałem zająć się metalowym obiektem, a rozmowa toczyła się dalej. Wkrótce jego długie palce o szpiczastych paznokciach wyłuskały zagadkowy przedmiot z moich niezręcznych dłoni, a on sam zaczął głośno wyjaśniać jego zagadkę. Tuż po deserze, składającym się z batoników Mars i wafelków KitKat wysypanych z czerwonego plastikowego pudełka, zabrał dwa psy i wyszedł z nimi do ogrodu. Po kilku minutach wrócił, życzył wszystkim dobrej nocy i w teatralny sposób wycofał się z publicznej przestrzeni salonu w głąb prywatności własnej sypialni.

Pół godziny później w przenikliwym chłodzie szedłem z głównego budynku do domku dla gości w ogrodzie. Panowała zupełna cisza. Gdzieś niedaleko zaszczekał lis. Przystanąłem na chwilę i spojrzałem w zimowe niebo. Oszołomiła mnie mnogość gwiazd. Great Missenden oddalone było zaledwie o godzinę drogi od Londynu, lecz wydawało mi się, że światła miasta muszą być gdzieś bardzo daleko. Na pobliskiej łące usłyszałem jakieś poruszenie wśród krów. Rozejrzałem się. Ogród ze wszystkich stron otaczały wzgórza. Przy końcu ścieżki gniewnie spoglądał na mnie ogromny buk. Mroczny pierwowzór pięćsetletniego cisu będącego inspiracją *Fantastycznego pana Lisa* zwieszał nade mną swe gałęzie. W sadzie w świetle księżyca ukazał się żywo pomalowany cygański wóz występujący w opowieści *Danny mistrz świata*. Na konarze cisu sowa cicho zatrzepotała skrzydłami. Odwróciłem się i otworzyłem drzwi do swojego pokoju.

Wkrótce złapałem się na przeglądaniu książek w szafce przy łóżku. Tu na pewno nie natknąlbym się na żadne biografie. Na półkach znajdowały się niemal same kryminały: Ed McBain, Agatha Christie, powieści z Ellery Queenem, Dick Francis. Wyciągając jeden z tomów, dostrzegłem jeszcze historie o duchach, encyklopedię owadów, pamiętnik jakiegoś wiktoriańskiego pastora i tomik poezji D.H. Lawrence'a. Wszystkie sprawiały wrażenie przeczytanych. Przypomniałem sobie naszą wymianę zdań podczas obiadu i zastanowiło mnie, czy Roald w ogóle kiedykolwiek spotkał się ze Strawińskim. Może powiedział to tylko po to, by mnie podjudzić? Pamiętam, że zanim zgasiłem światło, pomyślałem, by nazajutrz go dobrze wysondować. Zadałbym mu pytanie, w jaki sposób udało mu się zjeść obiad w towarzystwie wielkiego kompozytora. Niestety w ogólnym zamieszaniu zapomniałem, by to uczynić.

Był luty 1986. Znałem Dahla od pół roku. Minionej jesieni jako świeżo upieczony reżyser filmów dokumentalnych w jednym z działów BBC zaproponowałem produkcję filmu dla literackiego programu *Bookmark* będącego w tej dziedzinie okrętem flagowym całej korporacji. Jego producent Nigel Williams, wzięty dramaturg i powieściopisarz, zdecydował, że bożonarodzeniowa edycja zostanie poświęcona literaturze dziecięcej. Dwadzieścia pięć lat temu była to dziedzina wciąż jeszcze w dużym stopniu pogardzana w Wielkiej Brytanii i nikt ze starszej kadry doświadczonych reżyserów nie kwapił się, by zgłaszać jakiegokolwiek pomysły. Byłem najmłodszym członkiem zespołu.

Niezmiernie mi zależało, by zrobić film. Jakikolwiek. Podjąłem więc wyzwanie. Temat był sprecyzowany – stworzyć portret najśłynniejszego pisarza literatury dziecięcej, który odniósł ogromny sukces na świecie. Moja motywacja wynikała jednak w dużej mierze z pobudek oportunistycznych. Nie znałem wtedy prawie w ogóle twórczości Dahla z wyjątkiem *Charliego i fabryki czekolady*. Z drugiej strony jako trzynastolatek przeczytałem niemal wszystkie jego utwory dla dorosłych, rozkoszując się nimi ukradkiem pod ławką podczas lekcji matematyki. Mój młodzieńczy umysł dosłownie upajał się groteską, zawiłymi zwrotami akcji, oszczędnym, a jednocześnie zgrabnym stylem, który miał niezwykle *sex appeal*.

Pamiętam uśmiech na twarzy Nigela Williamsa. Sposób, w jaki na mnie spojrzał na dźwięk nazwiska „Roald Dahl”. Wszystkowiedzący i lekko złośliwy.

– Okej – powiedział. – Może uda ci się go namówić. – Milczałem. Czy miał na myśli pieniądze? Program z bardzo małym budżetem oferował uczestnikom niezwykle skromne wynagrodzenia. Jednak Nigelowi wcale nie chodziło o pieniądze. – Czy wiesz, jaką on się cieszy opinią? – zapytał retorycznie. – Jest nieprawdopodobnie trudny i gburowaty. Nigdy się nie zgodzi wystąpić. – Kiwnąłem głową, choć ta wiadomość była dla mnie całkiem nowa, bo do tej pory odnosiłem wrażenie, że Dahl jest tylko bardzo niefrasobliwy. Cztery lata wcześniej, kiedy byłem jeszcze studentem, słyszałem jego głos w debacie organizowanej przez Oxford Union*. – Romans jest tylko ucieczką – brzmiało jego podsumowanie Nigela. Dahl został zapamiętany jako ten, który wiele wniósł do dyskusji, twierdząc, że romans jest jedynie eufemistycznym wyrazem popędu seksualnego człowieka. Potrafił świetnie bawić publiczność – był dowcipny, przewrotny i błyskotliwy. W jakimś momencie zwrócił się do jednej ze słuchaczek z pytaniem, jak wyobraża sobie romans z eunuchem. Innej żartobliwie oświadczył, że wykastrowany mężczyzna przypomina samolot pozbawiony silnika, bo ani jeden, ani drugi nie są zdolni wznieść się w górę. Wychodząc z gabinetu Nigela, wciąż miałem w pamięci te scenki. Dahl może okazać się chimeryczny, ale na pewno będzie także zabawny.

* Unia Debatancka na Uniwersytecie w Oksfordzie. Uniwersytet ma długą tradycję w organizacji dyskusji studenckich, sięgającą jeszcze XIX w. Wiele brytyjskich polityków nabywało szlifów podczas debat oksfordzkich.

Z artykułów w gazetach wiedziałem, że mieszka w miejscowości o nazwie Great Missenden. W książce telefonicznej pod „Dahl, R.” figurał numer jego telefonu. Dziesięć minut później już dzwoniłem do niego, by porozmawiać o programie. Nasza rozmowa była krótka i bardzo konkretna.

– Zapraszam na lunch – powiedział. – Z Marylebone są dobre połączenia kolejowe.

Minał tydzień, a ja stałem przed jasnożółtymi drzwiami Gipsy House, czyli jego skromnego, pobielonego wapnem domu z osiemnastego wieku. Nacisnąłem dzwonek. Natychmiast rozległo się głośne szczekanie psów poprzedzające pojawienie się potężnej postaci odzianej w czerwony rozpinany sweter. Dahl przeszył mnie przenikliwym spojrzeniem. Mierzył sześć stóp i pięć cali, miał wyrazistą, pobrużdżoną twarz i rozłożystą sylwetkę. Wydawało się, że się nie mieści w drzwiach, a jego dom sprawiał wrażenie o wiele za małego dla człowieka o takiej posturze. Zaprowadził mnie do przytulnego salonu z ogniem płonącym w kominku. Był jakby lekko zdziwiony. Zapytałem, czy przypadkiem nie pomyliłem daty spotkania.

– Nie – odparł. – Oczekiwałem pana. – Poprosił, abym chwilę zaczekał i wyszedł z pokoju. Stawiał ogromne, ciężkie kroki, ale poruszał się z dziwną gracją i trochę przypominał żyrafę. Z wiszącego na ścianie tryptyku Francisca Bacona przedstawiającego trzy zniekształcone głowy patrzyły na mnie gniewnie trzy pary oczu, co przypomniało mi, że wydawcy utworów Dahla dla dorosłych już dawno ochrzczili go mianem Mistrza Makabry¹. Z sąsiedniej ściany kolejna zdeformowana głowa Bacona pogrążona w wirze zieleni i bieli odwzajemniała moje spojrzenie. Pokój zdobiły również inne dzieła sztuki oraz zbiór różnych przedmiotów: jaskrawe obrazy olejne, kolekcja starych norweskich fajek o nietypowych, dużych rozmiarach, prymitywna maska, spokojny holenderski pejzaż oraz jakieś stylizowane geometryczne malowidła. Podczas lunchu dowiedziałem się, że te ostatnie to dzieła rosyjskich suprematystów: Popowej, Malewicza i Gonczarowej.

Po pięciu minutach weszła żona Dahla, Liccy (imię wymawiane przez „s”, czyli Lisi), i zaprosiła mnie do jadalni, gdzie czekał gospodarz. Podczas lunchu składającego się z wędzonych ostryg z puszki – nie przypominam sobie, by podano jakieś wino – omówiliśmy plan filmu dokumentalnego. Na tydzień przed naszym spotkaniem czułem się jak ekspert od jego twórczości, przeczytałem bowiem

wszystko, co było do zdobycia na ten temat. Powiedział mi, że spojrzenie na świat z perspektywy dziecka wciąż nie przysparza mu żadnych trudności i właśnie w tym upatruje sekretu tworzenia udanej literatury dla dzieci. Zupełnie świeżo ukazały się wtedy jego wspomnienia z dzieciństwa, zatytułowane *Boy* (Chłopiec). Chciałem, aby właśnie one stały się szkieletem mojego filmu, więc zahaczyliśmy o Repton, szkołę, do której pięćdziesiąt lat wcześniej uczęszczał jako nastolatek. Wspomniał, że czas tam spędzony był wyjątkowo ponury, rozmawialiśmy o kwestii kar cielesnych, z których owa szkoła słynęła. Wyzначyliśmy terminy ewentualnych zdjęć. Potem spytałem, czy mógłbym obejrzeć chatkę, w której pracuje. Czytałem o niej i tam chciałem zrealizować film. Przewidywałem, że może mi odmówić i stwierdzić, że nie chce, by ekipa filmowa wchodziła w jego prywatną przestrzeń. Ale jemu nawet powieka nie drgnęła i zaraz po lunchu mnie tam zaprowadził. Poszliśmy kamiennym chodnikiem obsadzonym młodymi bezlistnymi lipami podwiązanymi do lekkiej konstrukcji z bambusa tworzącej łuk nad naszymi głowami. Wyjaśnił mi, że po pewnym czasie drzewka obrosną pergolę i powstanie magiczny cienisty tunel.

Otworzył drzwi do chaty i wprowadził mnie do środka. Tylko niewielki przedpokój zagracony ramami obrazów i segregatorami dzielił mnie od miejsca, w którym tworzył. Tutaj ściany pokryte były wielką już warstwą pianki izolacyjnej. Wszystko było żółte od nikotyny i wydzielalo woń tytoniu. Zniszczone linoleum pokrywał dywan kurzu, strużyn z temperowanych ołówków i popiołu z papierosów. Małutkie okienko przesłaniała przekrzywiona plastikowa zasłonka. Naturalne światło prawie nie miało tu dostępu. Przestrzeń małego pomieszczenia wypełniał ogromny fotel – siedzenie w nim Dahl często porównywał do przebywania w łonie matki albo w kokpicie myśliwca Hurricane. Jak mi wyjaśnił, z oparcia wyrębał sporą część, tak by nic nie podtrzymywało dolnej części kręgosłupa, przypominając mu w ten sposób ból po obrażeniach, jakich doświadczył w katastrofie swojego samolotu podczas wojny. Wiekowa lampa przegubowa niczym modliszka czała się nad fotelem, a stara piłka golfowa dynała z jego poręczy. Do sufitu przymocowany był prosty grzejnik elektryczny, którego kabel ciągnął się do gniazdka tuż nad podłogą. Powiedział mi, że szturchając grzejnik starym kijem golfowym, potrafi go tak nakierować, by ogrzewał mu dłonie.

Wszystko sprawiało wrażenie rozpadającej się prowizorki ogólnie grożącej niebezpieczeństwem. Jednak pomieszczenie zachowało nieodparty urok. Gigantyczne dziecko pokazywało mi swoje skarby: pokrytą zielonym suknem tablicę do pisania, którą pisarz sam zrobił, obrzydliwie brudny śpiwór do przykrywania zziębniętych nóg i największy powód jego dumy – prywatny gabinet osobliwości. Mieścił się on na drewnianym stole tuż za fotelem i zawierał między innymi głowę jego kości udowej (którą mu odpiłowano podczas operacji biodra dwadzieścia lat wcześniej), szklaną kolbę wypełnioną różowym alkoholem z pływającymi w nim lepкими włóknami pochodzącymi z jego kręgosłupa, kawałek rozłupanej skały ukazującej w swoim wnętrzu czerwone kryształy, małeńki model jakiegoś samolotu, szczątki babilońskiej ceramiki i srebrną kulę zrobioną, jak mnie poinformował, z setek aluminiowych opakowań po czekoladzie. Na samym końcu z dumą wskazał na błyszczącą stalową protezę. Po nieudanej operacji biodra przez jakiś czas tkwiła wmontowana w jego miednicę. Obecnie czasami używał jej jako prowizorycznego uchwytu do szuflady w jednej ze zniszczonych szafek zawierających archiwa.

Zdjęcia do filmu przebiegały bezkolizyjnie. Mimo że po raz pierwszy kamery weszły do chaty, w której pisał, i mimo że był to pierwszy film dokumentalny realizowany o nim przez BBC, nie pojawiły się żadne niesnaski, trudności ani narzekania. Roald oczarował wszystkich bez wyjątku i wciąż się zastanawiałem, co zaważyło na powstaniu tak negatywnego wizerunku pisarza. Nie dostrzegałem jego krótkotrwałych stanów napięcia. Jednak wiele lat później było dla mnie jasne, że podczas pierwszego naszego spotkania po prostu nie zwróciłem na nie uwagi. Niedługo po jego śmierci Liccy wyjaśniła mi, dlaczego zostawił mnie samego w salonie, kiedy przyszedłem do niego pierwszy raz. Przekraczając po raz pierwszy próg jego domu, nie zrobiłem na nim dobrego wrażenia. Roald natychmiast pospieszył do jej pokoju.

– Chryste, Lic, posłali tu jakiegoś pieprzonego smarkacza – wystękał.

Liccy zachęciła go, by dał mi szansę, i myślę, że właśnie młody wiek i szczere zaangażowanie stały się moim dużym atutem. Po dwóch dniach zdjęć poczułem, że Roald jest wobec mnie nawet przyjacielski. W montażowni podczas prac nad scaleniem filmu przypomniano mi o pewnej negatywnej opinii, jaka wciąż kładła się cieniem na postaci Roalda w ówczesnych kręgach literackich. Nigel Williams był

zaskoczony, że Dahl okazał się aż tak sympatyczny, i nalegał, abym nagrał wywiad z pewnym krytykiem literackim, który był zagorzałym przeciwnikiem jego twórczości dla dzieci. Niechć owego krytyka mogła zostać spowodowana zjadłym antyizraelskim artykułem, jaki dwa lata wcześniej Dahl opublikował w „The Literary Review”. Artykuł wywołał mnóstwo kontrowersji i w wielu głowach ugruntował obraz autora jako antysemitę. W moim odczuciu było jednak jeszcze coś innego w atmosferze nieufności i ostrożności, jaka przeważała w postrzeganiu go przez innych. Coś, czego nie potrafiłem sprecyzować. Może decydowało o tym to, że był outsiderem – niezrozumianym, odrzuconym, niemal pariasem.

W ciągu następnych czterech lat musiałem odwiedzić Gipsy House z sześć lub siedem razy. Stopniowo poznałem dzieci Dahla – Tessę, Thea, Ophelię i Lucy. Wspomnienia z tych wizyt do dziś przewijają się w mojej pamięci. Pamiętam poruszony ton głosu Roalda, gdy dzwonił do mnie kiedyś wczesnym rankiem:

– Nie wiem, jakie masz plany na najbliższą sobotę, ale radzę ci, abyś z nich zrezygnował. Przygotowujemy do jedzenia coś *n i e w i a r y g o d n e g o*. Pozałujesz, jeśli nie przyjdiesz.

Niespodzianką tamtego wieczoru był kawior, coś, o czym wiedział, że nigdy wcześniej tego nie próbowałem. Obnażając swoją przemysłową naturę, wyjaśnił mi potem, że kupił kawior okazjnie, przeprowadziwszy wysoce podejrzaną transakcję rodem ze szpiegowskiej powieści Johna le Carrégo skrzyżowanej z filmami z cyklu *Cała naprzód*. Hasło uprawniające do zakupu brzmiało: „Czy jesteś Sara z dużymi cyckami?”. Zapamiętałem go także, jak jakiegoś wieczoru otworzył kilka butelek bordeaux rocznik 1982 z zakupionego kiedyś ogromnego zapasu skrzynek, które szczelnie wypełniały całą jego piwnicę. Wino, by nabrać odpowiedniego smaku, miało czekać do lat dziewięćdziesiątych, ale on się tym w ogóle nie przejmował.

– Mam to gdzieś – stwierdził. – Jeśli ma być dobre po 1990, to czemu teraz nie ma być w porządku?

I było. Pamiętam też jego teatralne wejścia do salonu tuż przed obiadem, zupełnie jakby wychodził na scenę, kładąc kres wszelkim rozmowom. I ten jego tubalny, zaraźliwy śmiech. Przebywanie w jego towarzystwie działało niezwykle ożywczo. Nigdy nie było wiadomo, co nastąpi za chwilę. Wszystko, co robił, niosło ze sobą jakąś opowieść. Pewnego letniego poranka na tarasie pokazał mi, jak się wyjmuje

ostrzygę ze skorupy, i posłużył się szczyrzykiem o drewnianej ręczce, który należał do jego ojca. Powiedział mi, że wszędzie go zabiera i nie rozstaje się z nim od szkolnych lat. Kiedy później opowiedziałem o tym Ophelii, wybuchnęła wielkim śmiechem.

– Tata cię nabrał – wyjaśniła. – To był stary nóż, który akurat miał w kuchni pod ręką.

Na początku fizyczna obecność Roalda działała paraliżująco, ale kiedy już nawiązało się z nim nic porozumienia, stawał się fascynującym rozmówcą. Jego głos nabierał miękkich tonów, błękitne oczy lśniły, smukłe palce niespokojnie się poruszały, gdy rozpoczynał opowieść bądź wyjaśniał jakąś zagadkę czy też po prostu mówił o czymś, co go zafrapowało. Nic dziwnego, że dzieci słuchały go jak zahipnotyzowane. Uwielbiał mówić. Potrafił jednak także słuchać – jeśli uważał, że dowie się czegoś ciekawego. Często rozmawialiśmy o muzyce. Wolał płyty gramofonowe i CD od żywej muzyki. Siedzenie w jakiegokolwiek sali koncertowej było dla niego torturą ze względu na przebyte liczne operacje kręgosłupa, a także długość jego nóg. Ogromnie lubił porównywać różne wykonania swoich ukochanych utworów i wydawał się dziwnie zakłopotany ich różnymi odcieniami, siłą oddziaływania czy wartością artystyczną. Zawsze jakaś jedna szczególna interpretacja była dla niego najważniejsza. Zwyczajca musiał zostać wybrany. Owa postawa była obecna niemal w każdej dziedzinie jego życia. Bez względu na to, czy chodziło o jedzenie, wino, malarstwo, literaturę czy muzykę – interesowało go tylko to, co najlepsze. Lubiał jednoznaczność i jasne, zdecydowane wypowiedzi. Chyba nigdy nie słyszałem, by wyraził się o czymś z rezerwą i bez emocjonalnego zaangażowania. I mimo że jego życie było nadzwyczaj bogate w wydarzenia, żył teraźniejszością i rzadko powracał do przeszłości. Pamiętam zaledwie jedną krótką rozmowę dotyczącą czasów, gdy był pilotem myśliwca, nigdy natomiast nie padło słowo na temat jego działalności szpiegowskiej, związków towarzyskich z ówczesnym światem Hollywood, z politykami z Waszyngtonu czy nowojorskimi literatami.

Czasami zdarzało mu się wtrącić jakieś nazwisko. Pamiętam, jak zupełnie bez wyraźnego powodu wspomniał pewnego znanego aktora, który boleśnie przegrywał z Roaldem w golfa. I oczywiście należało odnotować ów nieprawdopodobny obiad ze Strawińskim. Choć był bardzo przywiązany do luksusu i towarzystwa z wyższych sfer, potrafił czerpać radość zarówno z odkrycia ptasiego gniazda w żywopłocie,

jak i z butelki Château Lafleur rocznik 1982 czy bon motów Iana Fleminga i Dorothy Parker. Uwielbiał łamać reguły angielskiego życia towarzyskiego i zadawać ludziom osobiste pytania. Podejrzewam, że wcale nie interesowały go odpowiedzi, lecz ogromnie bawiło go samo wywoływanie konsternacji rozmówcy. W tym sensie potrafił być nawet okrutny. Sam znany był z ogromnej wybuchowości, której świadkiem byłem tylko raz. Kuratorka wystawy Francisca Bacona w Nowym Jorku chciała wypożyczyć jeden z obrazów z jego kolekcji i zadzwoniła do niego w tej sprawie, gdy miał gości na obiedzie. Powiedziała coś, co go zdenerwowało, więc rzucił jej mocne przekleństwo i trzasnął słuchawką. Pamiętam, że czułem, jakby to było przez niego wyreżyserowane. Grał przed publicznością. Jego złość minęła z chwilą, gdy słuchawka trafiła na widelki.

Wtedy jeszcze nie byłem do końca świadom, że ta spektakularna gra stanowi swego rodzaju pancerz, by chronić kryjącą się pod nim istotę ludzką – delikatną i bezbronną. Wiele zaproszeń na obiad zostało odrzuconych z powodu jego niedyspozycji. Kiedyś Liccy poinformowała mnie przez telefon, że „staruszek” o mały włos nie przeniósł się na łono Abrahama. Zawsze jednak odzyskiwał formę i kiedy widywałem się z nim po owych przejściach, ponownie wydawał się silny i zdrowy jak za dawnych czasów. Demonstrował niesłychaną, nigdy niegasnącą witalność objawiającą się w wiecznym paleniu, wiecznym pociąganiu z butelki i w wiecznej potrzebie budzenia kontrowersji. Jego śmierć, która nastąpiła w listopadzie 1990, była szokiem dla wszystkich. Podczas uroczystości pogrzebowych pogrążona w rozpacz Liccy, wiedząc o moim uwielbieniu muzyki klasycznej, zwróciła się do mnie z prośbą, bym pomógł jej zamówić muzyczną oprawę do niektórych utworów Roalda. Miałoby powstać coś, czego pragnął – swego rodzaju alternatywa *Piotrusia i wilka* Prokofiewa, by przyciągnąć do filharmonii młodą publiczność. Akurat wtedy porzuciłem pracę w BBC i jako wolny strzelec podjąłem się tego zadania. W następnych kilku latach poznałem siostry Roalda – Alfchild, Else i Astę, a także jego pierwszą żonę – Patricię Neal. Wszystkie one wystąpiły w innym pełnometrażowym filmie, jaki zrealizowałem w roku 1998 także dla BBC. Narratorką była Ophelia i oboje zainicjowaliśmy w nim tematy, które pojawiły się w tej książce. Większość wypowiedzi w niej cytowanych pochodzi z tamtego okresu.

Tuż przed śmiercią Roald wyznaczył Ophelię do napisania swojej biografii. Gdyby nie zechciała podjąć się tego zadania, nałożył na nią obowiązek wyboru odpowiedniej osoby. Dla jej starszej siostry Tessy było to ogromnym zaskoczeniem, gdyż miała nadzieję, że to ona zostanie poproszona o napisanie tego dzieła. Niemniej jednak właśnie Ophelia podjęła wyzwanie przekopania się przez potężne archiwum listów, szkiców, notatek, wycinków z gazet i zdjęć, jakie jej ojciec pozostawił w chacie, w której tworzył. Ophelia mieszkała w Bostonie, gdzie jako prezes i dyrektor generalny założonej w 1987 roku organizacji Partners in Health, która zajmowała się otaczaniem opieką lekarską ludności krajów Trzeciego Świata, była ogromnie zajęta. Przez to praca nad archiwum przeciągała się i nie było widoków na ukończenie książki. Kiedy w 2006 roku okazało się, że spodziewa się dziecka, odłożyła wszelkie prace z nią związane i zadała mi pytanie, czy nie podjąłbym się napisania biografii jej ojca. Był to niezwykle akt zaufania do mnie, biografa debutanta, obdarzający mnie niepowtarzalną szansą stworzenia tej książki. Według niej ważne było, że nie należę do rodziny, jednocześnie jednak znałem jej ojca i go lubiłem. Uważała, że ktoś, kto go nie poznał, nigdy nie byłby w stanie ułożyć wszystkich tak rozbieżnych elementów tej niesłychanej łamigłówki, jaką stanowiła jego skomplikowana i ekstrawagancka osobowość. Całe ogromne archiwum w otwartym rok wcześniej Muzeum Roalda Dahla i Centrum Opowieści w Great Missenden było do mojej dyspozycji. Ophelia z wrodzoną wspaniałomyślnością pozwoliła mi korzystać z maszynopisu własnych wspomnień. Również Tessa wyzbyła się swojej początkowej nieufności i bezinteresownie poświęciła mi wiele czasu i energii. Nigdy nie napisałbym tej książki, gdyby nie ich współpraca, a także pomoc ich rodzeństwa – Thea i Lucy. Wszystkim im pozostaję głęboko wdzięczny.

Po drodze czyhały na mnie liczne pułapki i zagadki, nie mniej istotne niż odkrycie, że osobowością Roalda targały ogromne sprzeczności. Niepokoriony fantasta i zimny obserwator, zadufany w sobie egoista i wyciszony hodowca storczyków, arogancki uczeń i wrażliwy outsider, który nigdy w pełni nie wtopił się w angielski establishment, choć sam o sobie mówił, że jest „bardzo angielski... doprawdy bardzo angielski”. Radość czerpana z prostych przyjemności – zajmowania się ogrodem, obserwowania ptaków, gry w snookera i golfa – kontrastowała z fascynacją wyrafinowaną atmosferą wytwornych hoteli,

bogatyh kurortów i luksusowych kasyn. Miał wysublimowany gust co do malarstwa, mebli, książek i muzyki, a równocześnie potrafił być głęboko antyintelektualny. Nierzadko tyranizował otoczenie, ale szczylił się swoim wsparciem oferowanym najsłabszym. Kogoś, kto zawsze reprezentuje jednoznaczne i wyraziste poglądy, takie sprzeczności nie zaskakują. Dla Roalda prawie nie istniały odcienie szarości. Dowiedziałem się również, że przepisując swoje rękopisy, przepisywał także własną historię, odkrywając prywatne życie tylko w takim zakresie, w jakim mógł je sfabularyzować, dzięki czemu wciąż zachowywał nad nim kontrolę. Wobec wielu faktów ze swojej przeszłości odczuwał psychiczny dyskomfort, natomiast tworzenie historii pomagało mu tę słabość pokonać.

Zatem dziś, w 2010 roku, historia zatoczyła koło. Kiedy w 1986 jadłem z Roaldem ów obiad, trudno mi było sobie wyobrazić, że dwadzieścia cztery lata później podejmę w końcu jego wyzwanie i napiszę tę książkę. Mam nadzieję, że potrafiłby docenić tę ironię. Rzadko bowiem biograf ma do czynienia z tak zajmującą i wciągającą materią, z losami rodem niemal wprost z Iotrzykowskiej powieści, z ich wszystkimi wzlotami i upadkami, tragedią i humorem, a przy tym z niewyobrażalną brawurą i niepohamowaną żywiołowością. Mając dostęp do tak bogatego nowego archiwum – setek stron maszynopisów i tysięcy listów – ze wszech miar usiłuję przede wszystkim oddać głos Dahlowi i pozwolić czytelnikowi na takie spotkanie z nim, jakiego sam doświadczyłem, czyli na poznanie go takim, jaki był, bez żadnej hagiografii. Czasami bardzo chciałem usłyszeć w jego głosie cichy chichot lub dostrzec lekkie mrugnięcie, które bez wątpienia zawsze towarzyszyły jego najbardziej ostrym stwierdzeniom.

Co więcej, przez jego skłonności do przesady, ironizowania, przekonania o własnej nieomyślności prawdziwa osobowość Roalda stawała się nieuchwytna i mój wysiłek, by przebić się przez grubą warstwę ochronną, którą notorycznie opatrywał wydarzenia ze swej przeszłości, często spełzał na niczym. Usiłowałem sumiennie i pieczołowicie sprawdzać wszelkie fakty, lecz jeśli mimo to wkradły się tu jakieś błędy i nieścisłości, mam nadzieję, że czytelnik mi to wybaczy. Nie przypisuję sobie żadnego prawa do tego, by serwować suchą encyklopedyczną wiedzę ani by pozostawać bezstronnym. Nie jest to w ogóle możliwe. Mimo wszystko jednak starałem się stworzyć wierną i wyważoną historię, która jednocześnie nie grzęźnie w masie drobiazgowych

szczegółów. Wiem, że czegoś takiego Roald nigdy by mi nie wybaczył. Zatem kiedy wciąż nie jestem pewien, czy w końcu zjadł obiad ze Strawińskim, muszę wyznać, że dziś niewiele mnie to obchodzi. Może był to szczegół dodany przez opowiadacza historii, ot, taki sobie żart. W zestawieniu z innymi wątkami nie jest w ogóle istotne, czy to prawda czy też całkowite zmyślenie autorstwa Roalda Dahla.



Wieczny chłopiec, ekscentryk, pisarz, lotnik, szpieg...
Oswojony wiking, mroczny Norweg i pełen uroku młody
człowiek o błyskotliwym poczuciu humoru. Autor *Charliego*
i fabryki czekolady, *Matyldy*, a także perwersyjnych opowiadań
dla „Playboya” i scenariusza do filmu o Bondzie *Żyje się tylko*
dwa razy. Sypiał z najpiękniejszymi i najbogatszymi kobietami
świata. Bywał na lunchach u Roosevelta, przyjaźnił się z ame-
rykańskimi milionerami i wybitnymi artystami tamtego czasu,
uwielbiał hazard. Życiorysem Roalda Dahla można by obdarować
kilka osób.

Mistrz opowieści to intymny portret człowieka zmagającego
się z fizycznym bólem, dotkniętego rodzinną tragedią, odpo-
wiedzialnego za los najbliższych. Jednak Roald Dahl nie pod-
dał się przeciwnościom – przekuł je na wspaniałe opowieści
uwielbiane do dziś.

CENA 59,90 ZŁ

ISBN 978-83-240-3955-5



9 788324 039555 >

znak.com.pl

KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY